**Władcy Wiatru**

Autor: Verlax



***Dramatis Personae***

***Celestia*** *- Ta, Która Lśni, Król Equestrii, Władczyni Fralii i Alemanni, Królowa Hesperii*

***Caireann z Avalonu*** *- Czempionka Luny, Regent Equestrii, Oileainis i Alemanni*

***Ametyn II Platinum*** *- arcyksiąże Unicornii*

***Rubia Platinum*** *- arcyksiężna Unicornii*

***Jopaz Platinum*** *- syn Ametyna, następca tronu Unicornii*

***Siegfried z Hertzlandu*** *- kanclerz Unicornii, lekarz dworu*

***Noel III Auranti*** *- książę Ellenois*

***Arlette Auranti*** *- księżna Ellenois*

***Ira Auranti*** *- syn Noela, baron Tournai, następca tronu Ellenois*

***Arcole I Lannepax*** *- książę Cahlouse*

***Hollete*** *- arcybiskup Everfree*

***Ian Avilla*** - *rycerz z Hesperii, członek zakonu świętego Crayona*

***Ugo Torta*** *- ambasador Ligurii w Everfree*

***Rosa Torta*** *- żona ambasadora Ligurii*

***Luco d’Sarisolla*** *- baron Sarisolly, reprezentant republiki Ligurii*

***Venia d’Oriago*** *- baron Oriago, reprezentant republiki Altiny*

*i tajemniczy trędowaty, co każe się zwać* ***Lazar***

*...oraz wielu możnych ze wszego świata, dziesiątki rycerzy szukających chwały, setki widzów cieszących się igrzyskami i wiele innych osobistości, których ta opowieść nie zapamiętała.*

**I**

Stolica Equestrii, jaką było miasto Everfree, była przedziwnym tworem. Miasto stworzone znikąd, lokacja wybrana przez samą Celestię, w której nie było wcześniej nic poza jedną rybacką chatką. Kiedy Ona Zstąpiła i przejęła władzę w królestwie Equestrii, ogłosiła, że zbuduje miasto, które przez stulecia będzie oszałamiać swoją potęgą. Od tych czasów minęło już kilka wieków historii i choć czuć było powiew wielkości, miasto nadal było niekompletne. Położone w głąb rzeki Craisi, leżało po jej obydwu stronach. Pomiędzy nimi, mniej więcej w środku, znajdowała się wyspa, do której dobudowane były mosty z północnego i południowego brzegu. Na samej wyspie jednak nie było niczego - tylko wysoka trawa i drzewa. Było to miejsce zarezerwowane na pałac dla Celestii i Luny, dwóch władczyń tej krainy, jednak Ta, Która Lśni, uparła się, że najpierw zbudowane zostaną domy dla pospólstwa i mury ich chroniące, a jej własny zamek zbudowany zostanie na końcu. Póki nie był skończony, Celestia żyła w małej warowni na południowym brzegu, na wschodnim krańcu kamiennego muru. Południowa część miasta Everfree, nazywana popularnie “Everth”, miała już swój centralny rynek i przypominała podobne miasta północy, takie jak Hayburg czy Auranti. Najbardziej charakterystyczną częścią Everth był śródlądowy port, pozwalający statkom wpłynąć aż tak głęboko w ląd i zacumować bezpiecznie w mieście. Pomijając to, siedziby cechów przeróżnej maści, sklepy, ulice poszczególnych zawodów oraz wreszcie najbardziej charakterystyczne - kamienne mury - wszystko to już było na miejscu.

Ale dla tej konkretnej dwójki podróżujących traktem to ostatnie było specyficznym problemem. Po dwóch tygodniach podróży wreszcie dotarli na miejsce na dzień przed turniejem. Luco wydawał się tym bardzo podniecony, ale towarzyszący mu dobroczyńca tylko posępniał.

- Luco? - powiedział trędowaty. - Nie pamiętasz?

Baron Sarisolly się zatrzymał i odwrócił w jego kierunku.

- Ta - westchnął. - Nie przepuszczą cię?

- Nie mogę tam wejść, mówiłem ci o tym.

Reprezentant Ligurii zastanowił się. Dla samego turnieju i uczestnictwa Lazara w tymże to nie był problem. Wiedział, że, tak jak w poprzednim roku, pole turniejowe zostanie rozstawione poza murami miasta. Ale nadal chciał, by jego dobroczyńca i zastępca miał wygodne łóżko i ciepły posiłek. W trakcie podróży do Everfree cierpiał wewnętrznie od tego, że przy każdej tawernie Lazar musiał spać i jeść na zewnątrz. Męczyło go to potwornie również dlatego, że to Lazar ponosił koszty- w końcu jego obrabowano. Jak Lazar mu wyjaśnił - “pieniędzy dotkniętych przez niego nie chcą”. W efekcie to on płacił właścicielom przybytków pieniędzmi trędowatego, udając, że należą do niego.

- Chyba… chyba musimy zrobić tak jak ostatnio. *Merde...* - powiedział w końcu Luco, spoglądając ponownie w kierunku bramy, gdzie widział niewyraźnie sylwetki strażników.

Trędowaty skinął głową.

- Jutro się zaczyna?

- *Sì*

- Mogę poczekać w rynsztoku gdzieś pod murem, spróbuję się nie rzucać w oczy, by strażnicy mnie nie pogonili - mruknął trędowaty.

Fralski możny zgrzytnął zębami.

- Spróbuję załatwić ci posiłek możliwie tak szybko, jak się da - dodał fralski szlachcic.

Lazar to zignorował i rozstali się z dala od bramy i oczu strażników. Baron Sarisolly bez problemu ją przekroczył i wreszcie znalazł się w stolicy Equestrii.

Nie miał czasu podziwiać jej ulic oraz faktu, jak czyste było to miasto w porównaniu do jego rodzimej Ligurii. Przez całą drogę tutaj gorączkowo myślał i się wciąż zastanawiał, czy na pewno dobrze postąpił, tak ryzykując i decydując się, że ten nieznajomy go zastąpi. W drodze wykonał kilka eksperymentów i próbował poużywać trochę magii. Potwornie bolała go od tego głowa i generalnie nie czuł się dobrze - nawet jeśli Lazar go poprawnie obandażował, powinien dłużej odpocząć. Nie było to jednak możliwe - jego miasto i republika go potrzebowała i nie zamierzał jej zawieść. Musiał więc póki co mu zaufać, jakkolwiek cała sytuacja nie była kompletnie chaotyczna.

Celem jego spaceru było mieszkanie jednego z kupców na centralnym rynku Everth, tuż obok domu wagi miejskiej. Technicznie niczym się nie wyróżniało, ale było w rzeczywistości siedzibą równie ważnego co on przedstawiciela republiki. Wadą lokalizacji tak blisko domu wagi miejskiej był oczywisty problem z zatłoczeniem. Po drodze musiał pokonać spory tłum - było już trochę po popołudniu i na ulicach zalęgło się od mas mieszczan. Wreszcie dopadł do drzwi i zastukał głośno. Po kilku sekundach ktoś się pojawił po drugiej stronie.

- Kto tam? - usłyszał głos klaczy.

- *Signore* Luco d’Sarisolla - przedstawił się. - Jest ambasador?

Zamiast usłyszeć odpowiedź, usłyszał stęk zamka - drzwi po sekundzie zostały przed nim otwarte. Nawet nie zdążył o tym pomyśleć, gdy ku jego szyi rzuciła się różowa klacz.

- *Signore* Luco! - pisknęła. - Ugo wspominał, że przybywasz, martwiliśmy się, cholercia - kontynuowała dalej po fralsku, ściskając go. - Jeszcze dzień i byś się spóźnił! Oh, ale my się nie znamy, och tak, nazywam się Rosa i miło micięwidzieć, superżeprzybyłeś...

- *Pomocy…* - wydyszał, próbując się od niej uwolnić i kompletnie już nie rozumiejąc, co ona tak szybko mówi.

- *Il mio amore*, zostaw naszego dzielnego rycerza. - usłyszał gdzieś z korytarza. - Jeszcze ty go… *merde*, Luco, kto cię tak pierdolnął w ryj!?

- *Un momento*… - wreszcie klacz go puściła. Luco odsapnął chwilę. - Pozwólcie, że wejdziemy, nie chcę tutaj tak głupio stać. Zmęczony też jestem.

- Och, już, już! - powiedziała klacz i poprowadziła go do małego salonu, gdzie pan domu witał zwykle gości - Ugo zamknął za nimi drzwi. Stół nie był zastawiony, ale kilka krzeseł już czekało na potencjalnych przybyszy. - Siadaj waćpan, ja już jakąś zupę dobrą zro…

- Właśnie, skoro o tym mowa - przerwał jej baron. - Mam dziwną prośbę, jest to dla mnie dosyć ważne.

- Huh?

- Jest kucyk, któremu bardzo dużo zawdzięczam, ale nie może on wejść do miasta. Siedzi w rynsztoku na lewo od bramy południowej - bardzo rozpoznawalny jednorożec z metalową maską. Jak zrobisz tę zupę, możesz szybko pójść i ją mu zanieść?

- Jasna sprawa! - odparła radośnie. - Dla przyjaciół mojego kochaniutkiego wszystko. Już zasuwam! Będzie pyszniutka, ostatnio wpadłam na świetny przepis…

Ugo Torto, ambasador Ligurii w Everfree, delikatnie się roześmiał. Był on ziemskim kucykiem o zielonej sierści. Był widocznie starszy od swej towarzyszki życia.

- Dobrze, kochanie, ale pozwolisz tylko, że ja teraz pogadam z naszym gościem? - zapytał, podpierając się kopytem o ścianę.

Wraz z tymi słowami klacz zaczęła kuchcić dla nich coś pysznego. Niestety, dalej coś nuciła pod nosem, ale Lugo już był w stanie to ignorować.

- Rosa - wyjaśnił kupiec po tym, jak usiadł na krześle naprzeciwko barona Sarisolly. - Moja żona, od trzech miesięcy. To jednak wcale nie był głupi pomysł, heh.

- Oczywiście, że nie! - dodała z kuchni.

- Mhm - mruknął baron. - Serdeczne gratulacje.

- A dziękuję, ale teraz wyjaśnisz mi, kto ci tak ładnie twarz przeorał? I gdzie jest Avestillo? Nie miał być wraz z tobą?

Luco posępniał. Westchnął ciężko, a następnie opowiedział mu ze szczegółami całą opowieść od momentu, gdy wyruszył drogą lądową z Ligurii, do zasadzki zastawionej przez Venio oraz ocalenia przez interwencję Lazara. Pod koniec opowieści wzburzony Ugo wstał z krzesła i zaczął chodzić w kółko - usiadł z powrotem dopiero po chwili, gdy jego żona skończyła pichcić i podała im do stołu jedzenie. Następnie pomachała im na pożegnanie i wybiegła z małym kociołkiem i chochlą z domu, zapominając zamknąć drzwi. Gdy Ugo to zrobił za nią i usiadł z powrotem przy talerzu zupy, w końcu się przemógł.

- I ty zdecydowałeś się, by on cię zastąpił? - zapytał.

Baron przytaknął. Ugo spróbował zupy i mimo że ewidentnie mu smakowała, to uśmiech nie wrócił z powrotem na usta.

- Sytuacja jest zła - powiedział w końcu ambasador. - Ten pomysł jest wręcz niemożliwie durny. Ja nawet nie jestem pewien, czy to legalne. W sensie, czy go dopuszczą.

- Wiem - odparł baron, siorbiąc zupę.

- Ale szczerze, nie mam pojęcia, czy dałoby się coś zrobić lepiej, więc nie mam jak cię winić. Rzeczywiście - nie damy rady uwalić Venii, a na pewno nie przed turniejem. Będzie to słowo przeciw słowu. Lepszego zastępcy nie znajdziemy - negocjowanie na dzień przed, by ktoś inny nas reprezentował, jest równie ryzykowne.

Luco tylko cicho przytaknął, jedząc zupę.

- Zastanawiam się… - kontynuował Ugo. - *Merde…* tyle problemów. Dobra, będziesz uczestniczył w ceremonii otwarcia, a ten, no… Lazar będzie czekał poza areną, nie chcemy robić skandalu już na starcie. Porozmawiam z mistrzem ceremonii i spróbuję to jakoś dogadać tak, by Lazar mógł wejść za ciebie i bez kontaktu z nikim. Będziemy musieli liczyć na dobrotliwość mistrza ceremonii, a w najgorszym wypadku - na interwencję Celestii. A właśnie, skoro o tym mowa… kim do cholery jest ten Lazar, że zaszlachtował kilku bandytów w pojedynkę?

Baron zamilczał na moment.

- Mam swoje podejrzenia… - mruknął. - Jestem pewien, że jest możnym, podobnie jak ja. Kazał chłopom by traktowali mnie z szacunkiem godnym seniora, ale jednocześnie zwraca się do mnie na ty. Mówi zbyt elegancko. Tylko będąc możnym, mógł też zdobyć tak dobry miecz, którym mnie ocalił. Ale ponieważ zachorował, to pewnie go wydziedziczono.

- Zwłaszcza, że lepra jest karą za grzechy - dodał Ugo, kontynuując jedzenie. - To się nawet nie dziwię, też bym się bał trzymać kogoś takiego pod domem.

Luco milczał, nie chcąc się dzielić ze swym towarzyszem, co myśli o tym poglądzie. Po kilku minutach miski były już puste, więc ambasador wszedł na piętro po butelkę wina i po powrocie nalał po kieliszku.

- W każdym razie, będę kombinował. Rosa też jest kochana, mówię ci. Mam pomysł, by tego Lazara chociaż lepiej tolerowano. Wspominałeś, że chodzi w łachmanach - załatwimy mu coś ładniejszego, Rosa coś wymyśli. Znam też kupca, co handluje mydłem - jest prawie spłukany, bo nikt go nie kupuje - ale może mieć pomysł, jak sprawić, by, wybacz, Lazar nie śmierdział trupem.

- Pewnie - uśmiechnął się Luco. - Musimy próbować.

Stuknęli się kieliszkami i wypili za powodzenie Ligurii.

**II**

Trędowaty oddychał ciężko, obficie się pocąc pod swymi szmatami. Słońce mu bardzo dokuczało, było mu bardzo gorąco, a łachmany lepiły mu się na sierści w obrzydliwie niewygodny sposób. Chociaż nie miał węchu, wiedział, że prawdopodobnie śmierdzi okrutnie i dlatego też nie zamierzał nawet zostawać w pobliżu. Gdy stracił eskortę Luco, natychmiast poczuł dziesiątki wrogich spojrzeń wbitych w niego i odszedł spod podgrodzia na północ. Tutaj budynki i zabudowa miejska się kończyła, podobnie też obecność innych kucyków. Zamiast tego miał pole, na lewo od którego stał tylko wysoki i kamienny mur, oddzielający dzicz i naturę od cywilizacji. Znalazł wygodne miejsce przy cieniu drzewa i nim się położył, poskubał jeszcze trochę trawy. Nigdy nie jadł dużo i choć czuł się głodny, potrafił żyć tylko na ochłapach i nie doskwierało mu to zbyt bardzo. Gdy poczuł się usatysfakcjonowany, oparł się plecami o pień dębu i położył swój miecz w zasięgu.

Przez wiele lat żył sam i, choć podobno z Celestią zapanował już wieczny pokój, dalej bał się, że ktoś może być na tyle zdesperowany, by go ograbić i zabić. Cieszył się, że ma tę maskę, bo dzięki niej nie było widać, czy śpi, czy nie. Mógł się zdrzemnąć, mniej się bojąc innych kucyków.

Przymknął oczy, próbując nie myśleć o tym turnieju, na którym miał walczyć. Jednak nie zdążył w pełni odpłynąć, gdy usłyszał dźwięki kopyt uderzających o ziemię i poruszającej się trawy - coraz głośniej i głośniej. Odruchowo magią sięgnął po miecz i otworzył oczy, wstając tak szybko, jak jego ciało mu pozwalało. Zaskoczony, zauważył przed sobą klacz o różowej sierści, która w zębach trzymała obręcz z kociołkiem.

- Hej! - powiedziała radośnie, acz nieco nieskładnie ze względu na trzymany w ustach przedmiot. Mówiła po equestriańsku z fatalnym, fralskim akcentem. - Zupa! Jestem Rosa Torta, a ty jesteś Lazar, prawda? Cholernie ciekawy jesteś, Luco opowiadał.

Trędowaty mrugnął oczyma kilka razy, powoli, zastanawiając się, kto to jest i dlaczego mu w ogóle przeszkadza.

- Idź stąd…  - mruknął.

- Jesteś chudziutki! Znaczy, nie widzę spod twych ubrań, ale jesteś cherlawy na pewno. Niejadek. - powiedziała i postawiła ostrożnie mały kociołek z zupą. - Powinieneś coś zjeść, Luco bardzo prosił. Nie czujesz tego pysznego zapachu?

- Nie - burknął.

Rosa udała oburzenie.

- Stygnie, cholera, jak nie zaczniesz jeść, to cię tą chochlą przez tę maskę rąbnę, o!

- Czy jak obiecam, że ją zjem, pójdziesz sobie i dasz mi spokój? - zapytał zmęczony.

- Masz ją zjeść na moich oczach! - zadeklarowała z pewnością siebie i jeszcze teatralnie wzięła chochlą i machnęła nią przez powietrze. - Do dna!

Lazar ciężko westchnął.

- Dobra - powiedział i magią przywołał tę chochlę z kopyt Rosy i spojrzał do kociołka. Rzeczywiście była tam jakaś zupa, był w stanie spostrzec pływające w niej warzywa.

Podniósł oczy i niestety Rosa dalej tam stała.

- Możesz już iść - mruknął.

- Najpierw zjedz - odparła uparcie.

- Idź, to zjem.

- Nie, masz zjeść tutaj ładnie aż do końca, aż ci się uszy będą trzęsły!

Lazar wyraźnie się skrzywił.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć, stuknął kopytem o metalową maskę. Tym razem to Rosa westchnęła, przeczesując grzywę swoim kopytem.

- To zdejmij po prostu maskę.

- Nie chcę.

- Dlacze… ohh. Wspominali. Ale mnie to nie przeszkadza! - odparła uśmiechnięta.

- Mi przeszkadza - odparł smutny. - Nie chcę, byś patrzyła na mnie. Po prostu nie.

Przez chwilę milczeli, podczas gdy zupa wciąż stygła. Wiatr szeleścił wysoką trawą, której pełno było wokół nich.

- Dobra - westchnęła w końcu kompletnie zrezygnowana. - Czy mogę w takim razie usiąść po drugiej stronie dębu? Możesz zdjąć maskę, zjeść, ja nie będę patrzeć, tylko słuchać po drugiej stronie.

Lazar milczał przez kilka sekund, szukając powodu, dla którego tym razem miałby odmówić. Nie znalazł go, więc tylko przytaknął. Fralska klacz zasiadła więc po drugiej stronie drzewa i tak samo oparła się plecami o jego pień. Gdy to usłyszał, Lazar ostrożnie magią zdjął maskę i położył ją na trawie. Chwycił chochlę lewitacją i zaczął jeść.

Po minucie jedzenia w ciszy Rosa nie wytrzymała.

- I jak, smakuje? - zapytała, odwracając się w kierunku dębu.

- Tak - usłyszała z drugiej strony.

- Bardzo się cieszę! - powiedziała radośnie. - Chyba udało mi się ją jeszcze nawet jako tako ciepłą donieść, babciny przepis, aczkolwiek mama wrzucała dużo więcej makaronu. Pastą każde danie można poprawić!

Na to już Lazar nic nie odpowiedział, tylko kontynuował jedzenie. Rosa westchnęła.

- Dla mojego męża i dla Luco bardzo ważne jest, byś dał radę, z tego, co słyszałam z rozmowy - kontynuowała. - Ale zastanawia mnie, dlaczego się zgodziłeś? Znaczy, doceniam to i bardzo bym cię wytuliła i wycałowała za to, ale nadal…

Lazar ponownie jednak nie odpowiedział i tylko dalej siorbał zupę. Jadł bardzo powoli i ewidentnie się nie śpieszył. Rosa nie mogła z tym nic zrobić, więc tylko czekała cierpliwie i podziwiała kamienne mury miasta.

Musiało minąć trochę czasu, nim wreszcie trędowaty położył na chwilę chochlę.

- To powiesz mi? - zapytała jeszcze raz.

- Nie wiem - odparł w końcu.

- ...jak to?

Lazar milczał jeszcze przez chwilę.

- Nie wiem, co chcę robić - w końcu powiedział. -  Luco mnie ładnie poprosił, bym mu pomógł, równie dobrze mogę to zrobić.

- Ale nie masz jakiś fajnych marzeń, które chciałbyś spełnić? Coś być musi, prawda?

Znowu milczenie.

- Nie - odparł ponuro. - Ja umieram i niczego nie chcę. Myślałem, by się zabić, ale to też grzech. Nie czuję się, jakbym żył.

- Ale jednak tutaj jesteś. Ile lat masz i jak długo jesteś trędowaty? - zapytała.

Brak odpowiedzi. Rosa uśmiechnęła się za konarem drzewa.

- Zabroniłeś mi spojrzeć pod maskę i nie widzę, jak z tobą źle jest, ale masz na pewno jeszcze kilka lat. - kontynuowała, oczy unosząc ku niebu. - A może i tylko dwa lata. Ale co to za różnica, dalej możesz się dobrze bawić z tym, co jeszcze ci zostało, a nie tylko trupa udawać. Mi się wydaję, że się zgodziłeś dlatego, że uważasz, że ten turniej będzie po prostu bardzo fajny. No i po tym mieczu, co masz, podejrzewam, że lubisz walczyć?

Znowu brak odpowiedzi. Za to ponownie usłyszała, jak Lazar siorbie zupę. Jako że trędowaty odmawiał mówić, znowu była zmuszona czekać. Tym razem ciemno-niebieski jednorożec nie przestawał, aż w końcu skończył ją całą. Magią lewitacji przerzucił kociołek z powrotem do klaczy.

- Dziękuję - powiedział.

- Smakowała?! - zapytała, zniecierpliwiona zachowaniem trędowatego.

- Tak. Bardzo - odparł bez większej emocji w głosie.

W normalnych warunkach Rosa Torta zawsze starała się trzymać uśmiech na twarzy i pocieszyć każdego, w jakkolwiek złej sytuacji by nie był. Tym razem już nie była w stanie. Wstała i zabrała ze sobą pusty kociołek. Spojrzała tylko jeszcze z powrotem w miejsce, gdzie siedział trędowaty - Lazar znowu już miał założoną maskę i tak jak wcześniej nie widziała jego twarzy, tak i nie widziała teraz.

Westchnęła ciężko i ruszyła z powrotem do miasta, pozostawiając jednorożca w spokoju. Lazar przez chwilę patrzył, jak znika między budynkami zagrodzia, a następnie oparł się mocniej plecami o drzewo - myśląc o tym, co ta klacz mu powiedziała. Cienie rzucane przez drzewa stawały się coraz dłuższe i wraz z upływem czasu w końcu zasnął.

Jutro miał być ten dzień.

**III**

Wydawało się, jakby nowe miasto powstało tuż obok Everfree, tak bowiem zaroiło się od przyjezdnych. Namioty przeróżnych kolorów stały teraz dwie mile od południowych bram Everfree, gdzie możni całego dominium Królewskich Sióstr mieli swoje tymczasowe kwatery. Czerwień, purpura, róż, błękit i żółć - wszystkie te kolory powiewały dumnie na sztandarach licznych rodów, które teraz przybywały. Choć oficjalnym powodem turnieju była celebracja Dies Triumphi Solis Invicti, najdłuższego dnia roku, okazja ta pozwalała na spełnienie innych ambicji poszczególnych lordów. Organizacja ślubów politycznych, taktycznych sojuszy czy wreszcie przymilanie się do Celestii i próby zdobycia na nią wpływu - nie było lepszej okazji na taką działalność.

Sama Celestia również lubiła te dni zabawy przed uroczystością. Było w nich trochę rytuału i wyuczonych gestów, które powtarzała rok w rok i będzie je powtarzać jeszcze przez stulecia, ale dla niej nie były one nudne. A obserwowanie śmiertelników i ich działań było już w ogóle najbardziej pasjonującą zabawą.

Na polu turniejowym była jedna duża arena - znajdowali się na niej obecnie tylko dla formalnego rozpoczęcia uroczystości. Nie zamierzała jednak tego przedłużać i wolała, by kucyki od razu mogły przejść do “esencji” tego wydarzenia - do igrzysk. Luna nie zgadzała się z nią w tej sprawie, ale ona sama uważała, że powtarzalność i krótkość przemów jest jak najbardziej pożądana. Były wieczne, więc sugerowanie, że przez stulecia, tysiąclecia historii, której koło już zostało zatrzymane, będą wymyślały coraz to nowsze przemowy czy sposoby, by jeszcze jakoś zagrzać serca słuchaczy - no cóż, nie było to zbyt realne. Gdy więc możnowładcy od Hesperii na południu do Oileainis na północy i od Fralii i Alemanni na wschodzie do księstw Equestrii na zachodzie zebrali się na arenie, zajęło jej ledwie trzy minuty, by opowiedzieć, jak bardzo jest im wdzięczna, że po raz kolejny przybywają do niej z wizytą.

- **Póki więc Słońce wciąż rządzi z niebios, cieszcie się i radujcie, bo to jest też wasz dzień. Błogosławię was, by ni Chaos, ni słabość ciała nie zwiodła was - i wreszcie, by tylko honor i rycerskość dominowała na polu walki. *Pax sine sanguinis fundunt*** - zakończyła przemowę swoją dywizą. Nie bez powodu.

Pokój miał być zapewniony bez rozlewu krwi. Wśród możnowładców na trybunach dostrzegła jeden szczególny przypadek - jednorożec właściwe z całą obandażowaną stroną twarzy. Poszczególni szlachcice ciągle mierzyli go oczami ze zdziwieniem - o co chodziło, skąd ta rana? Możny ten był przedstawicielem Ligurii i przed jej przemową wyjaśniał okolicznym, w tym mistrzowi ceremonii, że został zaatakowany przez bandytów i okaleczony, przez co będzie musiał być zastąpiony przez giermka. Celestia przeżyła już kilka turniejów, które miały rozwiązać strasznie zawiłe konflikty prawne i handlowe między Ligurią i Altiną i specjalnie podarowała mieszkańcom Fralii możliwość ich rozwikłania bez ucieczki do wojen między fralskimi miastami-państwami i cierpienia poddanych. Miasta zgodziły się na to, ale krew lała się dalej - tylko w mniejszych ilościach i nie otwarcie, a podstępem.

Była wielce tym rozczarowana i zła, nawet jeśli jej twarz nawet nie drgnęła i wciąż trzymała ten niewielki uśmiech. Tylko wiedza o tym, co niesie przyszłość, pozwoliła jej zachować pogodę ducha. Ciężko westchnęła i opadła w tronie, pozwalając mistrzowi ceremonii kontynuować resztę uroczystości za nią. Wreszcie, gdy ten skończył przynudzać o etykiecie i turniejowych zasadach, można było przejść do igrzysk.

- *Melee* zacznie się właśnie teraz! - ogłosił mistrz ceremonii.

Nie była to najbardziej emocjonująca część turnieju, ale dla wielu - była to najzabawniejsza część. Po obydwu stronach długiej na blisko siedemdziesiąt łokci areny zbierały się dwie drużyny - obydwie po 24 członków. Co raczej niezwykłe - w walce tej brały udział nie tylko jednorożce, ale też kucyki ziemne. Wreszcie nie wszyscy jej uczestnicy byli nawet możnymi. W *melee* odgrywano stare konflikty ze sprzed-zjednoczeniowej Wojny Dwóch Królestw między Unicornią a Ellenois, obecnie dwoma największymi lennikami korony Equestrii. Była to zabawa, nie kryło się za *melee* nic ponad specyficzną formą pamięci o dawnych wydarzeniach i prawem do przechwalania się. Tradycyjnie więc obydwie strony reprezentowali szlachcice, którzy nie uczestniczyli w turnieju właściwym, a w niektórych sytuacjach zapraszano czasem co lepszego zwykłego żołdaka czy giermka, by się sprawdził. Sami uczestnicy głównego turnieju nie brali udziału w *melee* z obawy przed kontuzją.

Celestia podparła głowę kopytem i spokojnie sobie obserwowała przygotowania, ustawiczne sprawdzanie, czy broń z żelazodrzewa była odpowiednio pozbawiona krawędzi i poprawianie założonych zbroi. Kątem oka spojrzała ku swojej prawicy, gdzie był drugi tron, tak samo wielki jak dla niej, ale jednak zajęty przez klacz znacznie mniejszą. Ewidentnie źle się z tym czuła.

- *Życzyłabyś sobie, żeby to Luna była na tym tronie zamiast ciebie?* - zapytała się w myślach, telepatycznie.

Charakterystyczny, zakrzywiony róg klaczy Tuath De delikatnie zapalił się ciemnozieloną poświatą.

- *Tak. Jak najbardziej chciałabym by Ta, Która Tka Los tu była* - odparła w ten sam sposób Caireann. - *Albo bym mogła znowu jej towarzyszyć. Nie chcę jej zastępować.*

- *Ma wiele obowiązków. Saoshyant bardzo docenia jej pomoc w Hinnaracie.*

Klacz z Mglistych Wysp ciężko westchnęła.

- *Tak, ale… ona powinna tu dla nas być. Jest królem Equestrii i władcą Oileainis, mojej ojczyzny. Mogę ją zastępować jako regent, ale nie powinno to tak wyglądać. Chcę jej służyć, ale nie w ten sposób.*

Celestia również westchnęła, ale ciężko było jej zaoferować słowa otuchy. Luna taka już po prostu była i sama chciałaby, by zjawiła się na tym turnieju jako drugi król Equestrii. Faktem jednak było, że aby Harmonia niepodzielnie panowała w świecie, jej pomoc była potrzebna w wielu częściach świata, co sprawiało, że w Equestrii była ciągle nieobecna. Musiało to strasznie frustrować Caireann z Avalonu, która, choć formalnie była prawą ręką Luny i jej najwierniejszym poddanym, jeśli nawet nie przyjacielem, to ciągle była zmuszana zastępować ją w roli, której nie cierpiała.

Właśnie w tym momencie mistrz ceremonii ogłosił rozpoczęcie *melee* i dwie drużyny zderzyły się ze sobą - pełne wrzasków zarówno typowo equestriańskich, jak i w bardziej północnym ellenojskim akcencie. Przypominało to bardziej pod pewnymi względami bójkę niż prawdziwą walkę - nie było żadnego porządku i nie dało się stwierdzić, która strona jest bliżej zwycięstwa. I właśnie wtedy, gdy zaczęły się właściwe igrzyska, ktoś przepychał się przez trybunę w jej kierunku.

- Wasza Wysokość - usłyszała Celestia po swojej lewej. Odwróciła się w kierunku chuderlawego, acz wysokiego gryfa, prawdopodobnie jedynego takiego w całym tym zgromadzeniu. Jego głowa niemalże sięgała podłogi w uniżonym pokłonie.

- ***Tak, Siegfried?*** - uśmiechnęła się delikatnie. Dopiero wtedy kanclerz Unicornii spojrzał na nią bezpośrednio. Był już starym gryfem, ale dalej miał oczy drapieżcy. Prawie wszystkie gryfy je miały.

- Jestem zainteresowany, Wasza Wysokość, czy tak, jak głoszą święte księgi Aitokratii, Ta, Która Lśni, już wie, kto będzie zwycięzcą?

- ***Wiem z Wielkiego Planu, jakie będą efekty tego turnieju.***

- Czyli, Wasza Wysokość wie…

- ***Nie.***

Gryf był ewidentnie zdziwiony, ale też zainteresowany. Możni przy jej trybunie obok również zaczęli się przysłuchiwać i zbierać wokół ich dwojga. Celestia spojrzała ku niebu.

- **Z perspektywy Wielkiego Planu, to, kto zostanie nazwany przez śmiertelnika, mistrza ceremonii, “zwycięzcą turnieju”, jest mało znaczące** - odparła Ta, Która Lśni. - **Widzę i wiem jakie będą konsekwencje - kto będzie czuł się triumfatorem, kto przegranym, jakie przyjaźnie i rywalizacje się z niego narodzą, co się stanie w wyniku turnieju już na lata po nim. Ale kto ostatecznie zwycięży - to już jest w waszych kopytach.**

Siegfried ponownie się pokłonił prawie do desek, a następnie rakiem się wycofał, denerwując pozostałych możnych, którzy akurat dalej obserwowali *melee* i kibicowali swoim. Celestia również odwróciła oczy z powrotem na centrum areny tylko po to, by odkryć, że reprezentacja Ellenois zdominowała pole bitwy i ostatni walczący po stronie Unicornii zaczęli się poddawać. Niedaleko od niej arcyksiąże Ametyn II Platinum obserwował to i zgrzytał zębami.

- *Nie powiedziałaś im całej prawdy* - usłyszała głos Caireann.

- *Nie potrzebują jej* - odparła, uśmiechając się w jej kierunku.

**IV**

- Okej, dobra. Jest dobrze - mówił ambasador Ugo, chodząc w kółko, podczas gdy Luco, Lazar oraz Rosa słuchali. - Lazar wystartuje w turnieju w zastępstwie. Jesteś pięknie przystrojony i kompletnie to kupili, wiesz, z tą gadką szmatką o tym, że jesteś rycerzem związanym przysięgą milczenia i dlatego nosisz maskę i blablablabla - kontynuował, obficie gestykulując.

- Bardzo się cieszę, ale… - próbował zagadać Luco.

- Ach, i mamy tę cholerną rozpiskę turniejową! - dodał ambasador. - Lazar, tak padło, ale wchodzisz jako pierwszy. Twoim przeciwnikiem będzie Ian Avilla z Hesperii, rycerz z zakonu świętego Crayona. To jego pierwszy turniej i to chyba młodzik - powinieneś bez problemu dać radę. Nasz cholerny rywal Venio jest po drugiej stronie drabinki turniejowej. Zakładając, że będzie wygrywał - a raczej będzie - spotkamy go dużo później. Musimy więc pokonać minimum kilku pierwszych przeciwników. Musisz wygrać tyle samo walk, co Venio, inaczej odwieczny spór Altiny z Ligurią zostanie rozwiązany po ich myśli.

Trędowaty tylko cicho przytaknął. Zadowolony, ambasador odwrócił się w kierunku swojej żony, która z jakiegoś powodu podskakiwała radośnie.

- Rosa?

- Mogę Lazarowi podrzucać miecze? - zapytała podekscytowana. -  Mogę? Mogę?

- Kategorycznie nie! - odparł. Uśmiech prawie natychmiast mu zniknął z twarzy.

- A-ale…

- On jest chory, Rosa. Nie możesz tego robić, jeszcze się zarazisz - kontynuował ogier. - Gdyby mi Luco opowiedział swoją historię odpowiednio szybko, zabroniłbym ci też wyjść z tą zupą.

Rosa się skrzywiła, jakby ją spoliczkował. Luco był wściekły.

- Dobra, to ja to zrobię - burknął baron. - To tylko ceremonialna funkcja przy turnieju. *Gladar* podaje tylko miecze, mogę…

- Nie, nie możesz - przerwał mu ambasador. - Słuchaj, nie kombinuj. Mistrz ceremonii jest przekonany, że masz ciężką kontuzję i nie masz jak startować. Lazar cię zastępuje, mimo że formalnie nie jest twoim giermkiem i nie powinien mieć prawa go zastępować. Nie wspominając już o tym, że jest chory. Naprawdę, i tak potrzebujemy już tak dużo szczęścia, że jeszcze sobie utrudnianie tego jest samobójcze. Po prostu nie. Ta funkcja jest i tak tylko ceremonialna.

Luco zgrzytnął zębami. Był wściekły na ambasadora nawet nie za to, że storpedował pomysł, by Lazar miał swojego druha obok na turnieju do podawania drewnianych broni, gdyby oryginalna mu się złamała. Był wściekły za to, jak traktował Lazara - gorzej niż śmiecia, jakby zapomniał, że Lazar wciąż żyje, jest kucykiem i jest dokładnie tuż obok niego. Normalnie sam miał ochotę powiedzieć mu, co myśli o nim i jego traktowaniu dobroczyńcy, który go uratował, gdyby nie to, że sam Lazar w ogóle się nie poruszył, nawet nie drgnął w trakcie całej konwersacji. Maska skrywała całkowicie twarz i równie dobrze mógł spać.

Ambasador Ugo ciężko westchnął.

- Powinni kończyć lada chwila… - mruknął pod nosem.

Czekali cierpliwie przed wejściem na arenę i rzeczywiście, *melee* już się zakończyło. Reprezentacja Ellenois triumfowała, nie odnosząc większych strat, zdobywając roczne prawo do przechwalania się nad swoimi sąsiadami z południa.

- Dobra, to tyle - powiedział Ugo. - Lazar, idź pod bramę, strażnicy wiedzą, o co chodzi. My udajemy się na trybuny. Jako ambasador mam zapewnione dla nas miejsca… Lazar?

- Słucham. - usłyszeli chrypiący głos. - Wiem.

Ugo westchnął ponownie i gestem pokierował swoich towarzyszy ku trybunom, zostawiając Lazara samego.

**V**

Luco zastanawiał się, jak powiedzieć Ugo, żeby przestał tak traktować swojego dobroczyńcę - kucyka, który w końcu ocalił mu życie. Nie zdążył jednak tego zrobić, bo musieli przecisnąć się przez tłum gapiów.

Arena turniejowa składała się tak naprawdę z trzech części. Na jej krańcach znajdowały się dwie drewniane twierdze, w których przygotowywali się uczestnicy turnieju. W razie potrzeby, na ich drugich piętrach leczono kontuzjowanych rycerzy - obecnie większość łóżek zajmowała reprezentacja Unicornii, która dostała łomot w *melee*. Drugą i największą częścią areny był po prostu teren zewsząd okalający ubitą piaszczystą ziemię - oddzielony tylko drewnianymi barierkami. Mieszkańcy Everfree, kupcy, chłopstwo - wszystkie te klasy po prostu musiały stać. Tłum był wielki nawet jak na standardy stolicy Equestrii i mieszczanie próbowali jakoś z tym sobie radzić - cech stolarzy zgodził się i wybudował kilka mniejszych trybun w oddali, by więcej osób mogło podziwiać widowisko. Chociaż pegazy mogły obserwować to z powietrza, prawie nikt tego nie próbował - trzeba było za długo się trzymać w powietrzu, a z chmur nic widać już nie było. Po przeciśnięciu się przez mieszczan ambasador wprowadził ich wreszcie na trzecią część areny - trybunę królewską, zbudowaną kilka dni wcześniej, goszczącą rzesze equestriańskich możnowładców oraz Celestię, króla Equestrii. Oczywiście, jako ledwie przedstawiciele jednego z miast fralskich, nie mieli wystarczającego prestiżu, by zasiąść blisko niej. Musieli się zadowolić tym, co dostali.

Gdy już usiedli na drewnianych ławach, Ugo nachylił mu się do ucha.

- Powiedz mi jeszcze raz, ten Lazar to naprawdę dobrze włada mieczem? Na pewno?

Luco przytaknął.

- Nie kłamałem - odparł. - Wyrżnął bandytów do nogi, chociaż ci sami bandyci wcześniej wyrżnęli nas.

Ambasador delikatnie przeczesał swoją bródkę.

- Mam nadzieję.

Trzy trąbki zagrały, otwierając pierwszy pojedynek. Dwóch zawodników ruszyło, by spotkać się w śródku, gdzie czekał już na nich mistrz ceremonii. Jeden z nich nie był w jakikolwiek sposób niezwykły. Czerwonogrzywy jednorożec ze słonecznej Hesperii miał na sobie zbroję płytową - na jej plecach widniało godło *Alma el Sol*, symbolu zakonu świętego Crayona, najpotężniejszej instytucji królestwa Hesperii, zaraz po samym królu. Za samym hesperyjskim jednorożcem podążał onieśmielony giermek, który wyglądał, jakby bardzo nie chciał, by na niego patrzono. Oczy wszystkich jednak były zwrócone ku jego przeciwnikowi.

Nieznany wszystkim rycerz również nosił kolczugę, a ta była przykryta białą tuniką - na tyle długą, że zasłaniała niemalże każdą część jego ciała, aż do skrawek kopyt. Zamiast hełmu, ujrzeli kolczugę z tuniką zawiniętą wokół głowy i metalową maskę kryjącą twarz. Jedyne, co było widoczne, to ciemnoniebieski róg, wystający nieznacznie nad maską. Największego kolorytu dodał jednak wieniec kwiatów, który sterczał mu na głowie, nadając mu niemalże mistycznej aury. Chociaż widownia tego nie widziała, to Luco i reszta ich grupy wiedzieli, że Lazar został zmuszony do zakropienia się perfumami, dzięki czemu przestał śmierdzieć trupem. Prawie natychmiast na trybunach rozgorzały plotki - tradycja turniejowa w Equestrii była już długa i nigdy kogoś takiego nie widziano.

- Wasza Wysokość, Lordowie Dominium Celestii i Luny i zebrana widownio, przed wami: sir Avila de Lloman z Hesperii oraz sir Luco d’Sarisolla z Ligurii, zastępowany przez jego giermka, Lazara - wygłosił formułę mistrz ceremonii.

Obydwaj pojedynkujący się zatrzymali się na środku areny, na odległość kilkunastu kopyt solarnych. Giermek Avilii przyniósł ze sobą stos mieczy, który bezceremonialnie położył na ziemi z boku. Z widowni widzieli, że przez chwilę mistrz ceremonii szybko przypomniał zasady walczącym, a następnie pozwolił im wybrać broń.

- Nie rozumiem - mruknęła Rosa, kopytami czesząc grzywę. - Dlaczego oni się biją drewnianymi mieczami? Przecież to pęknie po pierwszym uderzeniu.

- Byłaś kiedyś na turnieju? - zapytał Luco.

- Nie miałam okazji - przyznała.

- To nie jest drewno - wyjaśnił jej mąż. - To żelazodrzewo z Ursuatu. Specjalnie wykonane miecze, które są twarde niczym metal, ale wciąż są drewnem - mogłyby się na przykład zapalić. Nie mają też krawędzi, by nie dało się nimi przelać krwi.

- Ahaaa - przytaknęła klacz.

- Znaczy, dalej się one często łamią. Są bardzo twarde, ale jednocześnie bardzo kruche. Ale jeśli któryś się złamie, mistrz przerywa na chwilę pojedynek, giermek pełniący rolę *gladara* podrzuca mu miecz, rycerz łapie go magią w locie i walka jest kontynuowana.

- No wiem! Dlatego chciałam mu podrzucać miecze, jak mu się połamie! - jęknęła.

Ugo ciężko westchnął. W międzyczasie walka właśnie miała się rozpocząć. Mistrz ceremonii podniósł kopyto do góry.

- ZACZYNAĆ! - wrzasnął.

Obydwa jednorożce już trzymały broń w polu lewitacji, prezentując ją przed sobą. Między samymi kucykami było koło trzynaście solenów odległości, broń mieli zawieszoną w powietrzu przed sobą w odległości dwóch. Obydwaj walczący jeszcze przez kilka sekund się mierzyli, a potem Avila z Hesperii jakby na próbę zamachnął się. Ostrze prowadzone magią lewitacji mogło pędzić znacznie szybciej niż jakakolwiek inna broń we władaniu kogoś bez magii. Żelazodrewniane miecze nie mogły przebić zbroi - ale broń ta pędziła z taką prędkością, że i tak mogła uczynić krzywdę. Poprzednie turnieje często kończyły się nie tylko guzami, ale wręcz połamanymi kończynami - nawet kolczuga na to nie mogła zaradzić. Stąd też turniejowe zbroje były tak masywne, choć broń, którymi się posługiwali, teoretycznie nie powinna móc zranić.

Ale to zamachnięcie - tak szybkie i tak miażdżące, gdyby trafiło - nawet nie miało sięgnąć Lazara, oponent tylko go testował. Rycerz w masce nawet nie drgnął, wciąż utrzymując miecz lewitacją w tym samym miejscu. Zamiast tego po dwóch sekundach sam wyprowadził cięcie - ale on nie miał zamiaru bawić się w dalsze “sprawdzania oponenta”, tylko sieknął w kierunku głowy Avilo. Ten wybronił się kontruderzeniem i od tej chwili obydwaj zaczęli się raz za razem wymieniać ciosami.

Ci goście turniejowi, którzy mieli rzadką okazję zobaczyć prawdziwą walkę, mogli odkryć, że pojedynek dwóch jednorożców przed ich oczami nie miał wiele wspólnego z bitwą. Co charakterystyczne, zamiast mierzyć ku sobie, wyglądało to, jakby obydwaj walczący specjalnie celowali swymi cięciami w broń przeciwnika. W rzeczywistości kontrola broni przy pomocy magii, szczególnie na takich odległościach, była wysoce skomplikowana. Wykonując cięcia, trzeba było wykalkulować, ile magicznej siły płonącego rogu należało użyć w każdym ruchu. Za mocny mógł posłać miecz za daleko, odkrywając się na przeciwnika - za słaby mógł zaś sprawić, że uderzenie nie wybiłoby wroga z rytmu. Ponieważ broń była zawieszona w powietrzu i nie miała “prawdziwego uchwytu”, wymagało to nadzwyczajnej koncentracji, umiejętności i szkolenia, by jednorożec po zblokowaniu jednego uderzenia utrzymał kontrolę nad swoją bronią.

Z tego też powodu, kluczem w tych pojedynkach jednorożców na miecze - klasycznym formacie turniejowym - była głowa. Głowa była wszystkim - była to absolutnie najbardziej wrażliwa część ciała, w którą każdy cios właściwie gwarantował dekoncentrację. Pojedynek bowiem kończył się w momencie, gdy któryś z jednorożców choćby i na sekundę stracił kontrolę magiczną nad swoim mieczem - a cios w głowę z rogiem, który był katalizatorem magii, właściwie gwarantował zwycięstwo, nawet jeśli samo uderzenie było słabe. Wreszcie, nawet zbyt radykalne ruchy głową czy resztą ciała łatwo mogły doprowadzić do dekoncentracji - ciężko było bowiem jednocześnie ruszać wszystkimi kończynami i jeszcze sterować osobno bronią, jakby ta była trzecim przednim kopytem.

Obydwaj walczący na pewno wiedzieli o tym wszystkim i kontynuowali starcie. Ciężko było powiedzieć, kto wygrywa, dopóki nagle rycerz z Hesperii nie skrócił dystansu, pokonując szybko pięć solenów. W normalnych warunkach, by utrzymać odpowiednio komfortową odległość, by móc się bronić, Lazar powinien zwyczajnie cofnąć się pięć solenów do tyłu. To nie powinien być trudny manewr dla jakiegokolwiek rycerza. Jednak...

- *Merde*… - mruknął ambasador.

- Co jest? - zapytał Luco.

- Teraz gdy jest zmuszony ruszać się szybciej i iść tyłem, to widzę, ledwo, ale jednak. On kuleje i to mocno.

- To prawda. Wspominał o tym - powiedział baron.

Kolejne cięcie hesperyjskiego rycerza nie zostało zablokowane - cios wyminął miecz Lazara, który instynktownie się uchylił - tylko ledwo uciekając przed uderzeniem prosto w głowę. Taki cios skończyłby pojedynek już teraz. Avila widząc, że jego przeciwnik sobie nie radzi, gdy ten zmuszony jest się pospiesznie cofać, tylko żwawiej ruszył do przodu. Z cięcia na cięcie widać było, że zastępca Luco radzi sobie coraz gorzej. Zmuszany do odwrotu, kulejąc i ledwo utrzymując koncentrację, Lazar był spychany aż na granicę areny.

Wreszcie Avilo, widząc otwartą przestrzeń, ciął z całej siły, żelazodrzewny miecz pozostawił za sobą tylko ledwie dostrzegalną smugę. Rycerz z Hesperii bezpośrednio trafił swojego przeciwnika w kopyto, a wśród widzów areny rozległy się odgłosy podziwu, ale potem szoku. Taka siła, tak wielki ból z takiego ciosu musiało zdekoncentrować na tyle Lazara, by ten stracił kontrolę nad magią - sygnalizując zwycięstwo dla członka zakonu Crayona. Tak samo też, jak widownia - Avila najpierw się uśmiechnął, gdy tylko jego miecz sięgnął kopyta przeciwnika, tylko po to, by odkryć, że sędzia nie wrzeszczy o końcu pojedynku.

Lazar bowiem nawet nie drgnął. Jego miecz dalej był w polu lewitacji - i teraz zmierzał, by wymierzyć szybką zemstą. Hesperski wojownik nawet tego nie zauważył - w jednej chwili żelazodrzewny miecz z całej siły wyrżnął go w bok głowy, posyłając go natychmiast prosto w piach ze strasznym zgrzytem miażdżonego hełmu. Gdy już leżał bez ruchu, przerażeni widzowie mogli dojrzeć, że ta pozbawiona krawędzi broń ewidentnie odkształciła żelazny hełm.

- Luco d’Sarisolla zwycięża! - wrzasnął sędzia. Zamiast kontynuować dalej formułkę podbiegł jednak do pokonanego. - *Oż piórwa mać* - dodał poza uszami widowni.

Sędzia padł na ziemię i zaczął oczyma przeczesywać piasek, sprawdzając, czy tak silne cięcie nie posłało przypadkiem kropel krwi na ziemię - to byłby bardzo zły omen dla całego turnieju. Szczęśliwie jednak, nawet jeśli Avilo stracił zęby, nie splunął krwią. Dopiero po upewnieniu się, że rzeczywiście nie spadła ani kropla krwi, zaczął wrzeszczeć do sparaliżowanego ze strachu giermka, by pomógł podnieść poszkodowanego.

- Ty już idź, sio, wygrałeś - mruknął mistrz ceremonii na odchodne do Lazara, taszcząc jęczącego Avilo z pomocą jego giermka.

Wśród widowni reakcja była gwałtowna, natychmiast się zaczęły głośne rozważania.

*- Przecież to było niemożliwe - Avilo uderzył pierwszy - ten giermek Luco musiał stracić koncentrację pierwszy.*

*- Może cios był słaby? Trafił bokiem? Kolczu…*

*- Gówno prawda, widziałem, z jaką siłą uderzył, to powinno kości łamać!*

*- Co to za kucyk, co przyjmuje na siebie taki cios, i to osłonięty tylko kolczugą!*

*- Skąd on w ogóle jest? To giermek Luco, ale…*

W międzyczasie Lazar zwyczajnie opuścił arenę, w żaden sposób nie celebrując tego zwycięstwa, odstawiając tylko po drodze swój żelazodrewniany miecz, który był już bliski złamania. Już poza samą areną, kilka minut później spotkał się z towarzyszami.

- Świetnie ci poszło, tylko tego Avilo szkoda - powiedziała Rosa na jego widok.

Lazar mruknął coś niezrozumiałego pod nosem. Po chwili dodał:

- Wybaczcie, że walczyłem tak słabo - powiedział cicho. - Nie jestem przyzwyczajony do chodzenia tyłem. W ogóle słabo chodzę.

Ambasador nie miał pojęcia, co powiedzieć. Luco zaś się uśmiechnął.

- Dobrze się sprawiłeś, wygrałeś i to w takim stylu, że za chwile pół Everfree będzie o tobie gadało - powiedział baron Sarisolly. - Niestety, czeka dzisiaj na ciebie jeszcze jeden pojedynek, na zakończenie dnia. Chodź póki co z nami na zewnątrz na obiad. Rosa robi świetny makaron.

I ruszyli wspólnie, póki co umykając z tłumu, podczas gdy na arenie turniej toczył się dalej.